

Mandatum, czyli – paradoksalnie – o nieposłuszeństwie jako miłości

Tomasz Dekert

Małżeństwo z miłości czy z rozsądku? Niech mi będzie wybaczone ekshumacja tej starej antytezy zdezaktualizowanej przez obecne obyczaje; sam jednak fakt, że mogła ona istnieć, jest już groźnym problemem. Bowiem takie dychotomie są przeciwne naturze: rodzą się z dekadencji dusz i obyczajów. Skądinąd, w obliczu wielu sformułowań tego rodzaju, ważne jest przede wszystkim zadać sobie pytanie, tytułem prostej hipotezy roboczej, czy słowa nie służą ukryciu rzeczywistości zupełnie przeciwnej do tej, jaką wyrażają: wiele odkryć dokonuje się tą metodą. Kiedy jakieś słowo jest w modzie, to często oznaczana przezeń rzecz jest bardzo rzadka lub mocno chora w świecie; rzucamy się wtedy na to słowo jak na alibi¹.

¹ G. Thibon, *Co Bóg złączył. Esej o miłości*, tłum. M. Iżycki, Poznań 2002, s. 103.

Przywołałem tę, w moim odczuciu, niezwykle wręcz trafną myśl Thibona, nie dlatego, abym chciał pisać o małżeństwie. Myślę, że znakomicie pasuje ona również do innej dychotomii, z którą spotykamy się na co dzień, a która do tego stopnia odcisnęła się w myśleniu wielu katolików – osobliwie w myśleniu o liturgii – że stanowi dla nich coś w rodzaju uniwersalnej kategorii poznawczej. Myślę oczywiście o dychotomii prawo *versus* miłość.

Problem ten narzuca mi się od dawna, a asumpt do nowych – powiedzmy – refleksji dał mi tegoroczny wielkoczwartkowy epizod, kiedy Ojciec Święty Franciszek zdecydował się na odprawienie Mszy Wieczerzy Pańskiej w zakładzie poprawczym, a w ramach obrzędu *mandatum* obmył nogi nieprzepisanym przez rubrykę „wybranych mężczyznom” (przepisy nie precyzują, że mają to być wierni, gdyż, przynajmniej teoretycznie, jest to zrozumiałe samo przez się), ale również kobietom i innowiercom. Innymi słowy, nazywając rzecz po imieniu, Papież okazał nieposłuszeństwo prawu liturgicznemu. Jak można się było spodziewać, stało

się to zarzewiem zażartych sporów i dyskusji, w ramach których w sposób nieunikniony musiała pojawić się sprawa relacji miłości do prawa. A dokładniej prymatu miłości nad prawem i znoszenia prawa przez miłość.

Kilkuletnie obserwowanie internetowych dyskusji wokół liturgii doprowadziło mnie do przekonania – z pewnością oczywistego i banalnego dla innych obserwatorów – że istnieje swojego rodzaju algorytm przebiegający mniej więcej w ten sposób, że kiedy pojawia się gdzieś informacja o jakiejś mniej lub bardziej spektakularnej liturgicznej transgresji i kiedy ktoś ją jako taką skrytykuje, wcześniej czy później reakcją na tę krytykę będzie oskarżenie o faryzeizm i „brak miłości”, nieewangeliczność, martwy rytualizm, odejście od nauki Jezusa itp. Można wręcz odnieść czasem wrażenie, że nieposłuszeństwo przepisom jest w jakiś tajemniczy sposób tożsame z miłością, wskazuje na jakiś wyższy cel (= miłość), przed którym „ludzkie” prawa musiały ustąpić. Wrażenie to bierze się stąd, że jeśli przyjrzeć się ww. sytuacjom i reakcjom na nie, okazuje się, że jedynym konkretem, tym, co się realnie stało, jest właśnie owa transgresja. Reszta to – pomijając wszechobecny werbalny szum, żarty itp. – z jednej strony krytyka (czasem ostra, ironiczna lub sarkastyczna) wskazująca, jak się dane zachowanie ma do liturgicznego prawa, a z drugiej oskarżenie o „brak miłości”, faryzeizm itd.

Krytyka jako taka nie stanowi interpretacji, tzn. nie traktuje swojego przedmiotu jako czegoś, co samo w sobie ma konkretny potencjał semantyczny, odsyła do jakiegoś znaczenia. Zauważa i reaguje na pewien dostrzegalny dla każdego fakt: działanie, którego przebieg jest określony pewną normą, dokonuje się w sposób tę normę lekceważący albo nawet gwałcący. Oczywiście również krytyce towarzyszy interpretacja, ale dotyczy ona bezpośrednio innych rzeczy niż sam fakt wspomnianej niezgodności działania z prawem liturgicznym. Natomiast druga strona sporu (upraszczam oczywiście, ale chodzi mi o pewną tendencję), zarzucając krytykom, że nie potrafią wyjść w kierunku miłości poza poziom wymagania aksjomatycznego posłuszeństwa prawu, zdaje się tym samym wyinterpretowywać „miłość” niejako z samego aktu przekroczenia przepisu, tak jakby uruchamiał on pewne skojarzenia, które prowadzą ostatecznie do powiązania nieposłuszeństwa

i miłości więzią logicznego wynikania (np. na zasadzie: „jeśli doszło do złamania prawa, to z pewnością było to motywowane miłością”). Co ciekawe, najczęściej nie mamy kompletnie wglądu w intencje transgresora(ów), a w przebiegu zniekształconej przez niego (nich) liturgii nic nie wskazuje na miłość. A jednak ogólny wydźwięk tych sporów daje podstawy do wniosku, że dla całkiem sporej liczby katolików nieposłuszeństwo prawu równa się miłości, natomiast krytyka tego nieposłuszeństwa i nawoływanie do posłuszeństwa – jej brakowi.

Mało tego, trudno nie odnieść wrażenia, że z punktu widzenia „miłości” poważne podejrzenia budzi sam rytuał jako sekwencja czynów i wypowiedzi dość sztywno zdefiniowanych przez normy². Stąd właśnie brałby się ów większy lub mniejszy entuzjazm i poparcie dla różnego rodzaju liturgicznych nadużyć. Wszak świadczą one o tym, że znów „duch” zwyciężył „literę”, a żywa miłość martwe prawo. Gdzie jest ten „duch” i ta „miłość”? Ano właśnie, wydaje się, że w ogromnej większości przypadków są to werbalne symulakry, o których pisał Thibon...

Ten sam algorytm bez pudła zadziałał również w przypadku transgresyjnego obrzędu *mandatum* w wykonaniu Ojca Świętego, przy czym pojawił się tu na dużą skalę dodatkowy element: fala zachwyty, którą metonimicznie streszcza wypowiedź jakiegoś komentatora (najprawdopodobniej księdza) zasłyszana przeze mnie w radio: „Papież pokazał, że tak naprawdę chodzi o człowieka. Nie o piękne liturgiczne gesty, nie o obrzędowość, ale o człowieka”. Na nieco podobnym, choć bardziej wyważonym poziomie plasują się również wypowiedzi, takie jak komentarz ks. Andrzeja Draguły pt. „Zgorszenie Wielkiego Czwartku”³, do którego jeszcze się odniosę.

To, że pozwalam sobie pisać o papieskim nieposłuszeństwie, brzmi pewnie dla niektórych obrazoburczo. Dlatego zanim pójdę dalej, pozwolę sobie wpierw zaślonić się znowu Thibonem, który pisze: „W epokach klasycznych instytucje moralne, polityczne lub religijne stały ponad i podtrzymywały reprezentujące je jednostki. Monarchia była czymś więcej niż król, kapłaństwo czymś więcej niż ksiądz. Do tego stopnia, że można sobie było pozwolić na luksus pogardzania jakimś królem albo takim czy innym Papieżem bez podawania w najlżejszą choćby wątpliwość

² W tym kontekście warto przywołać i polecić uwagę rozważania nad zjawiskiem antyrytualizmu (również w kontekście kwestii liturgii katolickiej), które rozwija Mary Douglas w swojej pracy pt. *Symbole naturalne. Rozważania o kosmologii* (tłum. E. Dżurak, Kraków 2004).

³ Wpis blogowy na „Laboratorium Więzi” z 29 marca 2013 (www.laboratorium.wiez.pl; dostęp: 29.05.2013). Wszystkie pojawiające się tu cytaty i nawiązania do myśli ks. Draguły odnoszą się do tego tekstu.

samej zasady monarchii czy autorytetu papieskiego [...]. Dzisiaj, jak w każdym okresie dekadencji, jesteśmy świadkami zjawiska odwrotnego: instytucje są tolerowane i kochane tylko w uosabiających je jednostkach: to dlatego, powiedzmy na marginesie, potrzebujemy dziś, bardziej niż kiedykolwiek, nieposzlakowanych i pełnych werwy przywódców politycznych i religijnych”⁴. Co prawda – i daje się to bardzo wyraźnie zauważyć – Thibonowskie „dzisiaj, jak w każdym okresie dekadencji”, choć napisane w 1945 r., pozostaje jak najbardziej aktualne. Nic chyba jednak nie każe mi, czy komukolwiek innemu, podążać za owczym pędem kultu jednostki i spoglądać na to złamanie przez Papieża prawa liturgicznego okiem pochlebcy ani tym bardziej z tendencją do nieumiarkowanej pozytywnej hermeneutyki, w której celuje część komentatorów. I nie wydaje mi się, abym tym samym stawiał sobie „poza Kościołem” (to popularny zarzut ze strony zwolenników „miłości”) czy uchylał szacunkowi wobec Papieża, o urzędzie papieskim nie wspominając.

⁴ G. Thibon, *Co Bóg złączył...*, ss. 104-105.

Uważam, że źle się stało, że *mandatum* zostało odprawione w sposób niezgodny z prawem. W tym sensie patrzę na tę sytuację tak, jak jawi się ona niejako na pierwszy rzut oka. I z tej perspektywy była ona przede wszystkim nieuprawnionym aktem nieposłuszeństwa, podobnym do innych powszechnie dziś spotykanych, choć poważniejszym ze względu na osobę Papieża i echo, jakie wywołał. Nie znajduję w niej nic, co by kazało mi tę ocenę zrewidować. Nie jestem jednak skłonny jakoś specjalnie łamać rąk, gdyż uznaję, że Papież, jako człowiek, uformowany w konkretnym czasie charakteryzującym się takim, a nie innym podejściem do liturgii, może nie mieć nawyku posłuszeństwa przepisom liturgicznym, może też zwyczajnie dokonywać pomyłek. Paradoksalnie bardziej niepokoją mnie reakcje niektórych osób, publicznych i prywatnych, które w takiej sytuacji zaczynają wręcz anankastycznie doszukiwać się w tym akcie nieposłuszeństwa wielkich znaków, przełomów, rewolucji, „zbliżenia Kościoła do ludzi”, „koncentracji na ubogich” i innych rewelacji.

Uwidacznia się przez to jeden z wymiarów tego, o czym wspominał Thibon – jesteśmy tak uzależnieni od „wybitnych” jednostek, że nie potrafimy dopuścić do siebie myśli, że ktoś taki jak Papież też może się mylić, że pod pewnymi względami może nie

dostawać do funkcji, którą pełni (w tym wypadku kustosza świętej liturgii Kościoła). Dlatego trzeba szybko wrzucić to w hermeneutyczny układ odniesień, w którym nagle okaże się, że nie mamy do czynienia z nieprzemyślanym nieposłuszeństwem, ale z genialną, nieledwie chrystomorficzną rewolucją (papieskie nieposłuszeństwo do Jezusowego niepoddawania się żydowskiemu legalizmowi porównał ks. Andrzej Draguła). Dychotomia prawo *versus* miłość jest gotową matrycą takich interpretacji, które w moich oczach noszą wyraźne piętno pewnego rodzaju romantycznego prometeizmu. Ale czy chrześcijaństwo jest religią prometejską?

Wydaje mi się, że ks. Draguła trafnie zrekonstruował sposób myślenia stojący za tegorocznym papieskim *mandatum*, kiedy podsumowując swoje rozważania nad „rewolucją” Papieża Franciszka, stwierdza: „Oczywiście nie jest tak, że ryt, norma, rubryka przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Mają – o tyle jednak, o ile nie służą samym sobie i o ile nie stają się zaprzeczeniem miłości bliźniego”. Sam autor tych słów w kolejnych partiach swojego tekstu uściśla, że jemu samemu nie chodzi o antagonizowanie „czynu miłosierdzia” i „czynu pobożności”⁵. Jednakże jeśli rzeczywiście wyżej zacytowane zdanie dobrze oddaje myśl towarzyszącą organizacji przebiegu *mandatum*, to słowa te w kontekście tej konkretnej sytuacji (co podkreślam) nabierają znajomego znaczenia: gdyby Papież zachował posłuszeństwo normom, byłoby to zaprzeczenie miłości bliźniego. A zatem wracałby znowu ten sam refren: nieposłuszeństwo implikuje miłość, nie da się okazać miłości, zachowując wierność przepisom Kościoła, miłość i prawo wykluczają się wzajemnie, prawo jest niebezpieczne dla miłości. Ryt, normę czy rubrykę, aby nie służyły samym sobie, trzeba przekraczać. A może jeszcze lepiej – co prawda, nominalnie uznajemy znaczenie norm, ale ich głównym *raison d’être* jest to, że łamiąc je, możemy okazać miłość.

Co było w tej sytuacji takiego, że narzuca się rozumienie uzależnienia znaczenia norm liturgicznych od tego, czy nie stoją w sprzeczności z miłością bliźniego jako tak naprawdę ich antagonizowanie? Moim zdaniem jest tak ze względu na jej sztuczność. Rzecznik Stolicy Apostolskiej, ks. Federico Lombardi, tłumaczył później, że *mandatum* wobec osób nieprzewidywanych przez rytuał miało zapobiec stwarzaniu poczucia wykluczenia wśród

⁵ Jak pisze: *Nie jest też tak, że czyn pobożny (actus pietatis) należy przeciwstawiać czynowi miłości (actus amoris). Dobrze by było, by jeden z drugiego wynikał, jeden do drugiego prowadził. Gdyby jednak pytać, który z tych aktów ma pierwszeństwo – odpowiedź wydaje się jednoznaczna, taka zresztą wynika ze wspomnianej wyżej przypowieści [o Miłosiernym Samarytaninie – T.D.]: czyn miłości idzie przed czynem pobożnym.*

ludzi niemających pojęcia o katolickiej liturgice. Wszystko to pięknie, ale błąd tkwi u samej podstawy, gdyż sytuacja, w której powstał ten dylemat, została sztucznie wygenerowana. Nie było przecież tak, że Papież został postawiony przed sytuacją, do której stosowałyby się powszechnie przywoływane przez piewców „miłości” przykłady ewangeliczne dające się streścić formułą: prawo nie stanowi i nie może stanowić przeszkody dla czynienia dobra drugiemu człowiekowi. Papież ją w pewnym sensie sam stworzył, decydując się na odprawienie Mszy Wieczerzy Pańskiej w zakładzie karnym. Nie był tam przecież zapowiadany, nie składał wcześniej żadnych obietnic, nikt tam na niego nie czekał. Zresztą nawet sprawując tam liturgię, nie wydaje się, żeby musiał łamać prawo. Jeśli wierzyć doniesieniom prasy, „wszyscy” więźniowie, kiedy się dowiedzieli, że Papież ma u nich być, chcieli się z nim spotkać, i „wszyscy” chcieli, żeby umył im nogi⁶. Wybór dwunastu spośród nich musiał się więc wiązać z wykluczeniem pozostałych „chcących”, można więc było wybrać dwunastu katolików (chyba że ich tam tyłu nie było, ale to już osobny problem). Argumentacja z „lęku przed wywołaniem poczucia wykluczenia” daje się zresztą sprowadzić do absurdu, gdyż można by powiedzieć, że wybierając więzienie Casal del Marmo, Papież „wykluczył” tym samym więźniów z innych zakładów. Itd.

Można powiedzieć, że jest to podejście zimne, całkiem (a jakże!) pozbawione miłości, słowem – skrajny rubrycyzm nierozumiejący Ewangelii. No bo jak tu się nie wzruszyć, czytając np., że „Ciril z Rumunii powiedział, że czeka na Papieża jak na ojca, bo jego własny o nim zapomniał”⁷. Jak można w takiej sytuacji wypominać Papieżowi złamanie prawa? Otóż można, bo doszło tu do pomieszania porządków. Warto przywołać tradycję pierwszych wieków chrześcijaństwa (ulubioną przez wielu kontestatorów prawa na rzecz miłości, tyle że dość wybiórczo), która jasno pokazuje inkluzywizm dzieł miłosierdzia przy jednoczesnym ekskluzywizmie liturgicznym. Czy dawni chrześcijanie okazywali brak miłości do drugiego człowieka, nie dopuszczając nieochrzczonych pogan, a nawet katechumenów do pełnego uczestnictwa w liturgii? Nawiedzenie i pocieszenie więźniów, ogłoszenie im Dobrej Nowiny o przebaczeniu i bezwarunkowej miłości Boga, zadeklarowanie służebności Kościoła wobec nich i nawoływanie, aby

⁶ Zob. P. Kowalczyk, *Nowy Kościół nowego papieża*, „Rzeczpospolita” 28.03.2013 (korzystałem z artykułu w Internecie, www.rp.pl; dostęp: 30.05.2013).

⁷ P. Kowalczyk, dz. cyt.

i oni służyli sobie nawzajem – wszystko to można było zrobić bez wykorzystania *mandatum*. Świadomie piszę o „wykorzystaniu”, bo tak został tu ten obrzęd potraktowany, tzn. jako narzędzie ww. deklaracji, punkt odbicia dla katechezy i może jeszcze ewentualnie czynnik mający wzmacniać słowa homilii. (Takie dydaktyczne spłaszczenie wielowymiarowego rytualnego symbolu było w tej sytuacji nieuniknione, gdyż został on wyobcowany z właściwego sobie środowiska hermeneutycznego.)

Ktoś się może obruszy, że przecież aktem tym Papież okazał więźniom miłość. Ja skonstruję, że owszem, ale skoro jest to akt symboliczny, to i okazanie miłości za jego pośrednictwem trzeba rozumieć jako symboliczne. Czy symboliczne okazanie miłości stanowi wypełnienie Jezusowego *mandatum novum*? Jak dla mnie czegoś tu brakuje. No chyba że ktoś zacznie upatrywać realności (niesymboliczności) miłości w ramach tej sytuacji w fakcie znizowania się Biskupa Rzymu do umywania nóg przestępcom, czyli w przełamaniu barier społecznych. Wolna droga, ale zwracam wówczas uwagę, że takie rozumienie paradoksalnie wywyższa Papieża, poniżając tych, których obmył...

Ciekawe, że samo papieskie działanie w kwestii tego *mandatum* było, jak się zdaje, po prostu dość często dziś spotykanym pomieszaniem porządków i przesunięciem akcentu w liturgii z misterium na dydaktykę, natomiast jego odbiór przez część komentatorów i w ogóle katolików zakrawał na ogłaszanie nowej ery. Jak wspomniałem, brzmi to w moich uszach jak apoteoza prometeizmu: kolejny raz zbawcza transgresja wyzwala nas z okowów martwych rytuałów i daje nam ogień prawdziwej miłości. Tyle że tak sformułowane brzmi to już jakoś mało chrześcijańsko, prawda?

Chrześcijaństwo nie jest prometeizmem. Chrystus nie zbawił nas przez sprzeciw wobec nadmiernej amplifikacji prawa, nawet jeśli była ona „nakładaniem na ludzi ciężarów, których nie są w stanie unieść”, ale przez to, że „był posłuszny aż do śmierci, i to śmierci krzyżowej” – będąc posłusznym prawu Ojca, Syn „do końca nas umiłował”. Antagonizowanie prawa i miłości jest pomyłką. Wszyscy, włącznie z Papieżem, mamy być posłuszni prawom kultu, gdyż one określają fakt, że nie celebруем w nim siebie i naszej małej ludzkiej „miłości”, ale to, co nas nieskończe-

nie przerasta – Miłość Przedwieczną. Zresztą jeśli przypomnimy sobie podstawowy fakt, że miłość jest przykazaniem (J 13,34: *mandatum novum do vobis ut diligati invicem, sicut dilexi vos*), a więc niczym innym tylko prawem (łac. *mandatum* odpowiada hebr. *micwah* – zasadniczej jednostce Tory), i pomyślimy nad tym chwilę, zawieszając romantyczne (w szerokim znaczeniu) przesady na temat tego, czym miłość jest, łatwo zrozumiemy, że pokorne posłuszeństwo w stosunku do liturgicznego prawa Kościoła może nas przygotować do sytuacji, kiedy nie będziemy mieli luksusu okazania miłości według własnego pomysłu, ale będziemy musieli wybrać: posłuszeństwo wobec prawa miłości (= krzyż) czy pójście za własnym konceptem. Do czego przygotowuje nas nieposłuszeństwo? ■